ŚWIATŁOCIENIE

MIESIĘCZNIK LITERACKI I ARTYSTYCZNY



ZESZYT 2 KRAKÓW KWIECIEŃ 1919

OKŁADKA J. SZANCERA

PRZEDPŁATA KWARTALNA M. 5·—
Z PRZESYŁKĄ 6 KORON, M. 3·—
POJEDYNCZY ZESZYT KOR. 2·—

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: POTOCKIEGO 10, NR. TEL. 214

RĘKOPISY
DO ODEBRANIA W REDAKCYI

KIEROWNIK LITERACKI: KONSTANTY GRZYBOWSKI
ODPOW. REDAKTOR: PROF. DR. MICHAŁ SZYSZKA

ODBITO W DRUKARNI J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE

ROK I. KRAKÓW, KWIECIEŃ 1919. ZFSZYT 2.

ŚWIATŁOCIENIE

MIESIĘCZNIK LITERACKI I ARTYSTYCZNY MŁODZIEŻY POLSKIEJ

MIECZYSŁAW LIRSKI.

PRZY SARKOFAGU KOŚCIUSZKI.

MODLITWA.

U Twej trumny królewskiej duch się nasz dziś korzy,
w niezmąconem skupieniu przy Twych prochach klęczy
i wyzwolony z hańbiących pętów i obroży,
w symbolicznych promieniach pojednania tęczy
U Twej trumny królewskiej duch się nasz dziś korzy...

I spuściznę po Tobie na swe barki bierze
i ślubuje wykonać Twej przysięgi rotę
i wykuwa na pierś swą hartowne pancerze
i gotuje się w świętą drogę na Golgotę
i spuściznę po Tobie na swe barki bierze.

W prometejskich cierpieniach i w zamęcie bitwy,
kiedy miotać nim będzie przeznaczeń huragan,
pierś swą siłą umocni szeptem słów modlitwy,
kiedy zwątpi, rozpaczą beznadziejną smagan,
w prometejskich cierpieniach i w zamęcie bitwy.

U Twej trumny królewskiej naród dziś uklęka,
w sanktuaryum Twem pragnie uświęcić swe hufce,
bo go dręczy bezsiły nieskończona męka,
manny ducha potrzeba w skazańczej wędrówce, —
więc u stóp twych w nabożnem skupieniu uklęka.

Ale taką okropną, zrozpaczoną twarz ma,
czucie ducha wygasłe i zakrzepłe serce —
że szał czynu, — choć naród wyzuty już z jarzma,
w Twoich prochów dopiero zaklęty iskierce,
bo pierś pustą i bladą, zrozpaczoną twarz ma...

Ze stygmatem przebytych boleści na czole,
czysty, piękny, świetlany, że go brud nie spodli,
w mocy trwałej jak granit strojny aureolę,
u stóp trumny Twej klęczy, żarliwie się modli,
abyś tchnął weń ogromną niezniszczalną Wolę! —



STES OSTOJA.

BOLESŁAW BLAGA.

Z CYKLU „PSUJCE PAPIERU".

Society often forgives the criminal, it never forgives the graphoman.

(Społeczeństwo często przebacza zbrodniarzowi, nigdy grafomanowi). *Podług O. Wilde'a.*

W „wielkiej księdze adresowej" figurował jako poeta i literat, podobnie w spisie abonentów telefonicznych. Te dwa przeto wiarygodne dzieła przeczyły zuchwałym pogłoskom, rozsiewanym przez ludzi podłych a zazdrosnych, że nigdzie nie był „drukowany".

A przecież mimo wszystko, był to człowiek niespożytej energii twórczej, — choć nie musiał, pisał rok rocznie pięć dramatów i jedną komedyę. Co więcej usiłował, wszystkie te wypływy swej jaźni i rączki do napełniania, pchnąć na tory teatralnej karyery. Dzień w dzień obchodził poczekalnie dyrektorów teatrów i ich sekretarzy. Gdyby chmura zagładą ciężarna wisiał nad ich przedwcześnie wyłysiałemi łbami, zaś na nim wisiała czarna peleryna, pod którą chował tekę zdolną ukryć przed Bogiem i ludźmi dziewięćdziesiąt arkuszy rękopisu.

— — Jakże często nie doceniamy naszych współbraci. — —

Ta prawda życiowa strasznie się mściła na Bolesławie.

Każdy z dyrektorów, któremu nie udało się ujść jego planowej nagonki, popadał w zachwytne zdziwienie, widząc jak młody dramatyk, mówiąc mu „o głupiej rybie wyobraźni, co się trzepie w wodorostach serca", trzy twory z tęki wyjmuje i z desperackim uśmiechem mu wręcza. Żaden z nich nie obawiał się więcej niż jednego.

— — — Zdziwienie przeciwnika, to pierwszy krok do zwycięstwa. — — —

Zyskiwał zwykle „dyrektorską" obietnicę, że conajmniej jedno z dzieł będzie przeczytane.

Przyszedł po kilku dniach, to mówiono mu, że dramat jego przeczytano z zainterowaniem, co więcej z ogromnem zainteresowaniem. Lekki rumieniec pokrywał wówczas twarz poety, gdyby jutrzenka swą różanopalcą dłonią musnęła jego skołatany czerep. Tyran teatru rad z wrażenia jaki te słowa wywarły powtarzał frazes kilka razy z rzędu, z wzrokiem utkwionym w paznokcie swych palców, z wzrokiem tak naiwnie zdziwionym jak gdyby te zrogowaciałe ich kończyny po raz pierwszy widział w swem życiu. Co jest tem możliwsze, że żaden człowiek nie zna dokładnie siebie samego. Po chwili dodawał jednak, że tego na wskroś genialnego utworu nie wystawi bo koniec zbyt nie-

oczekiwanie przychodzi. Bolesław odpierał zarzut, mówiąc, że koniec właśnie, mu najpierw przyszedł na myśl i natchnął chęcią napisania dramatu.

— Całkiem słusznie — mówił wtedy dyrektor — o tem właśnie mówiłem. Końca można się od początku domyślić. Publiczność przecież lubi naprężenie akcyi.

Wtedy znikał rumieniec i uśmiech Szczęścia opuszczał poetę, a jego bujna łysina pokrywała się zmarszczkami Bólu. Półszeptem rzucał „do widzenia za tydzień“ i znikał otulon w swą pelerynę.

Inny kierownik chramu Sztuki, usuwał, podczas rozmowy końcem ołówka, resztki śniadania z pożółkłych kłów. Ten jeszcze przyjemniejszemi pochlebstwami szafując prawił, że utwór jest w ogóle za dobry, aby go wystawiać na czem straciłaby tylko poetyczna liryczność nastrojowych elukubracyi. Z temi słowy zwracał mu rękopis pomny zasady, żeby każdemu oddać co doń należy.

— — — Wszystko się w życiu powtarza. — — —

Z biegiem lat zmieniały się nazwiska dyrektorów, z biegiem lat zmieniały się tytuły dramatów i komedyi. Także dramatyk się zmienił z czasem, talent jego zarzucił formę klasycznego dramatu, a sięgnął po wawrzyny tragedyi.

Zmienili się dyrektorzy, lecz nie zmienili przekonań wobec płodów tragiturga.

Każdy o nich był przekonany, że cała ta tragiczna produkcya jest za dobrą by ją wystawiać, za szlachetną by ją kalać na deskach teatralnego rynsztoka.

Tymczasem jedne z rękopisów poczęły szarzeć i przybierać kolor soczysto-brudny (najlepszy dowód z jak gruntownem zainteresowaniem były czytane). Inne swym wyglądem przypominać, wystrzępioną szatę rozbitka, nie mogącego znaleźć przytułku. Wszystkie te wystrzępione, poplamione, pokreślone wysyłał w podróż, aby uszczęśliwić nimi także prowincyonalnych dyrektorów. Że na powrotną opłatę nie skąpił, wracały doń z wiernością wytresowanych gołębi pocztowych.

— — — Świat nie tylko jest wielki, świat jest też pełen cudów. — — —

Jednego dnia przyszedł do niego list z małego miasteczka, w którym dyrektor tamtejszej trupy donosił, że jest skłonnym wystawić jego utwór dramo-tragiczny p. t. „Dziedzictwo grzechu“. Role już rozdane. Prosił jednak o pokrycie kosztów wystawy, by ta nie pozostała w tyle za wspaniałą treścią tragedyi.

Który z autorów żałowałby pieniędzy dla Sztuki — dla własnej Sztuki? (o ile je ma). Bolesław niedawno odziedziczył majątek po stryjku, który pęknął z nadmiaru wzruszeń, czytając jego komedyę. Posłał też bez zwłoki znaczniejszą sumkę, a na generalną próbę sam przybył. W dzień próby pierwszy się zjawił w teatrze. Była to rzadko-brzydka, typowo-prowincyonalna buda.

Poczęli się schodzić aktorzy. Kurtyna poszła w górę. Pierwsze słowa padły na scenie i przebrzmiały po pustej widowni.

On słuchał, chłonął w siebie słowa, które fibrowały mu w mózgu. Lecz chwilę tylko trwał w zasłuchu, nagle zerwał się z miejsca, ręce do uszu przyłożył i jakby w śnie magnetycznym pobiegł aż do rampy. Co to? — Czyż go słuch mylił? — Czy on zwaryował? Przecież tego, co oni na scenie mówili nigdy nie napisał. Myśli jak błyskawice przelatywały mu po głowie z rozpaczliwą jasnością zdał sobie sprawę z tego co się stało. Jednym skokiem wpadł na scenę i wyrwał manuskrypt z rąk dyrektora-reżysera. Spojrzał; wszak to okładka jego dramatu, lecz dalsze arkusze nie znanem mu pismem pokryte.

Omyłka jest ludzką rzeczą. — — — Jak straszną — teraz zrozumiał. Pewnie któryś z dyrektorów oddając mu rękopis zamienił treść jego.

Wybiegł z teatru.

Był przekonany o tem, że chce się zastrzelić. Ogarnęło go straszne zwątpienie. Rozpacz paliła pod czaszką. Przywodził na myśl swoje nekrologi w dziennikach, widział już wieńce na swym grobie. Sam nie wiedział kiedy znalazł się w hotelowym pokoju.

Wtem spojrzenie jego padło na biórko, na grubą rączkę, która poruszona do głębi jego gwałtownemi kroki, tulała się niespokojnie po białym, czystym papierze.

Czas jakiś śledził te kokieteryjne podrygi. Nagle stuknął się w czoło, zrzucił surdut; na krzesło ciężko opadł, pióro w rękę uchwycił i szybkim zdecydowanym ruchem opuścił — — — na papier i począł pisać komedye ze swej ostatniej przygody.

STANISŁAW KOWALSKI.

p. M. Turskiej.

DE PROFUNDIS.

I.

1. W labirynt życia, w głąb się duch mój wlecze
ślepy, zdrętwiały, czarnym trądem chory; —
wloką się za nim straszne dwa upiory:
Szał i Ból, — Stróże-anioły człowiecze. —

Głąb własnej duszy jestestwo me chłonie,
oczy wciąż patrzą na życia kałużę; —
na duszy mojej czułej klawiaturze
Szał i Ból głuchą grają wciąż symfonię...

Wichrów szaleją silne huragany,
w próżni nurzają wszystko co najświętsze,
przed własnem wyciem zasklepiają uszy...

Ostatnie z duszy opadły łachmany
i widać jaźni tajemnicze wnętrze...
— — — — — — — — —
Zstępuję w głębię swojej własnej duszy...

2. Rozpanoszona życia żądza dzika
istotę jaźni trzyma swymi szpony...
szatańskim śmiechem chichoczą demony,
a w takt przygrywa im fatum muzyka.

A ciału żądza dostarcza oddechu,
każe się kłaniać posągom Baala.
A duszę? Duszę w brudzie jeno kala,
obarcza klątwą i brzemieniem grzechu.

I musisz w sobie nosić ono brzemię,
chociaż ci ciąży jak płód niezrodzony,
ciężarem ciągnie w błota pełną ziemię...

I słyszysz w sobie wyrok: „potępiony!“ —
Z rozpaczą w dłonie sine kryjesz lice,
tańcząc przy onej żywota muzyce...

3. Hej! życie! życie! — Szaloną źrenicą
patrzysz na gęsty jestestw rój zamarły:
widzisz olbrzymy, widzisz marne karły,
chłonięte jedną śmierci tajemnicą.

Szeregi widzisz spłodzone, płodzące,
w bezkońca szereg rój się wciąż rozmnaża
by wśród szumiących spocząć drzew cmentarza
i rzucić światy podłe i cuchnące.

I słyszysz potem — po alfie żywota,
gdy śmierć się zbliża ze życia omegą,
jak beznadziejnie w ciele duch się miota,

jako przekleństwa śmierci z ust mu biegą...
Nie chce opuszczać za nic tego błota, —
sam nawet nie wie: dlaczego, dlaczego?

4. Nad rzeką życia wartką a głęboką
stoją odwieczne dęby od pradziadów.
Przetrwały dotąd tysiąc burz i gradów,
wykwitłe dawno przed naszą epoką.

Idź, duszo młoda, w nabożnej zadumie
i słuchaj smętnej onych dębów pieśni: —
wszystko się wonczas tobie ucieleśni, —
przekleństwo całe odczujesz w ich szumie.

Rzekną ci one swą potężną gwarą,
że przed wiekami jestestwa człowiecze
jęczały także zabite niewiarą...

I ujrzysz wtedy, jak się życie wlecze,
nieprzerywaną snując szarą przędzę...
I ujrzysz wtedy cały brud i nędzę...

5. Kiedy czas przyjdzie jednoczyć się śmierci
z życiem, — na gardle złoży ci swe ostrze,
w duszy się twojej niepokój rozpostrze,
nieokreślony żal się w serce wwierci.

Okropny w jaźni odezwie się lament,
kiedy żywota zagaśnie ci zorza,
gdy życie zwiąże u twojego łoża
z śmierci upiorem małżeństwa sakrament.

I wtedy życie wyda ci się wiosną
jasną, świetlaną i wyzutą z brudu,
balsamów wonią dyszącą obficie...

I drżący, z śmiercią walcząc nielitosną,
ramiona wzniesiesz wyczekując cudu,
zawołasz: Życia chcę! —
— — — — — — — — — —
Przeklęte życie...

II.

1. Zstąpiłem na dno w czarny życia ereb
z sercem zdrętwiałem i obliczem zbladłem,
na błoto grząskie, ohydne upadłem
a szałem mózgu płonął słaby czerep.

Zdawało mi się, że mroźny wiew wiatru
rozbije duszę, a każdy jej atom,
na pośmiewisko rzuci trzeźwym światom,
tę scenę zwykłą z żywota teatru.

I jakieś ślepia zabłysnęły w duszy
rozpaczą czarne, czerwone posoką
i pełne ślepych, głuchych oszołomień...

Świadomość straszna szeptała mi w uszy.
„Nieszczęsny, toniesz i toniesz głęboko!...“
— — — — — — — — — — — —
Co to? Czy lśni się jaki słońca promień?

2. Zdawało mi się, że ludzkie boleści
rozpacz i krwawy pot i pracy ziarno,
że wszystko jakąś igraszką jest marną,
szyderczą, pustą choć okrutną w treści.

I duch się miotał nad księgą rozwartą,
bo widział wszystko na tę samą modłę:
duszę oślepłą, całe życie podłe
i wmawiał w siebie, że już żyć nie warto.

Lecz naglem ujrzał ze sercem zatrutem,
że ból i męka i bój z życia czartem
i wszystkie trudy i wysiłki ducha

kują przyszłości ducha wspólnem dłutem
i niezniszczalnym umacniają hartem...
I w duszy blada zabłysła otucha...

3. I porzuciłem te sfery zatrute
zarazą tknięte, ciemne, głuche, próżne —
i szedłem prosić o ducha jałmużnę,
radosną szedłem odprawiać pokutę.

Widziałem wkoło białych orłów zamęt,
jak porzuciwszy cuchnące pielesze
na skrzydłach silnych wzbijały się rzesze,
daleko lecąc w słoneczny firmament.

I zobaczyłem ich wolę z granitu
i wyzwoleniem przejasne oblicze —
i swe przekleństwo i swą nędzną dolę.

I oniemiały stanąłem z zachwytu —
z żalu się w piersi bijąc pokutnicze,
tchnąłem w nie świętą i ogromną wolę...

4. Wstąpiłem kornie w jakiś wielki gotyk,
nieznanych pełen, tajemniczych znamion,
w świec blasku klęczał jakiś hufiec ramion
i czół zmęczonych pracą piór i motyk.

A kiedy powstał, to taki był dumny
i taki pełen poświęcenia wszystek,
że cały drżałem jak jesienny listek
i z trwogą w smukłe kryłem się kolumny..

Widziałem ogień w białych skrzydeł srebrze
potęgą czynu jaśniały źrenice
zapałem serca płonęły jak znicze...

I byłem pewny, że nie próżno żebrzę
i purpurowym wstydem barwię lice,
gdym to misteryum pojął tajemnicze...

5. I dusza moja radosna, choć biedna
z zagadką straszną pogodzenia bytu
w eter ku jasnym promieniom szła świtu
z cierpień i zwątpień ciemnego bezedna.

Wystrzępionemi trzepotała póry,
wolę, w za słońcem zakuła tęsknotę, —
gwałtowny zapał rozpierał istotę
i niewstrzymany silny pęd do góry.

Chciała się wcielić w hufiec ducha mężny,
przyłbicę podnieść, ciężkie podjąć dzieło,
ducha przyszłości w wspólnym kuć granicie...

Z piersi się wzbijał chorał przepotężny:
Hosanna! Gloria in excelsis Deo! —
— — — — — — — — — —
Błogosławione, cudotwórcze życie!

W Krakowie, dnia 11 marca 1919.

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI.

KANT A PROBLEM RELIGIJNY.

(Ciąg dalszy).

Człowiek naiwny ciągle pragnie. Pragnie bezkrytycznie, bezgranicznie i bezprzedmiotowo. Chce być panem „wszelakiego stworzenia" bez walki, chce być panem swoich bliźnich bez walki i chce być panem samego siebie, również bez walki. Każdy, chociażby najdrobniejszy, opór budzi w nim „święte oburzenie", wywołane przyrodzonem, więc instynktownem samopoczuciem prawa do życia i przyrodzonem lenistwem. Rozpiera się i dusi w około siebie słabsze osobniki, dusi bez chęci duszenia, bez zawiści, w imię potrzeby powietrza i światła, podobnie jak to czyni dąbczak, rozrastający się kosztem swojego otoczenia. Gdyby „wszelakie stworzenie", gdy „On" idzie, z radością ustępowało mu z drogi, gdy „On" łaknie, z radością wpadało mu do gąbki, a gdy „On" najedzony, z radością czekało (ma się rozumieć „na widoku") aż łaknąć ponownie zacznie, człowiek naiwny miłowałby „wszelakie stworzenie", z serdecznem rozrzewnieniem, z jakiem smakosz patrzy na dobrze upieczoną pieczeń, patrzyłby na orbis terrarum, byłby gołębio łagodny w swoim bezgranicznym i niczem niehamowanym despotyzmie, słowem, byłby z natury doskonały. Niestety rzecz przedstawia się inaczej. Człowiek naiwny na samym początku życiowej wędrówki spotyka się z krótkiem a kategorycznem: „stój!" — Prawdopodobnie pierwszem jego uczuciem jest zdumienie. — Jakto?! Przecież ja chcę!" — „Ale i ja chcę" — odpowiada stworzenie — i raz na zawsze przepada „aurea prima sata est aetas", przepada „czynienie sobie ziemi poddaną, przepada panowanie nad rybami morskiemi i nad ptactwem powietrznem i nad wszystkiemi zwierzęty, które się

ruszają, a natomiast rodzi się walka wszystkich przeciw wszystkim, czyli wyrasta przed człowiekiem naiwnym olbrzymie drzewo wiadomości, z którego to drzewa owocu zrywać nie należy, o ile pragnie się pozostać w raju swojego nieograniczonego, wszechobecnego i wszechmocnego egotyzmu. — Tak jest — początkowa sielanka kończy się smutnym epilogiem. — „Śmiertelni w złem się rodzą i w złem umierają“ woła Homer. — „Pełną cierpień jest ziemia, pełnem cierpień morze“, skarży się Hezyod. „Płaczesz nad śmiercią zmarłego człowieka, który był od poczęcia istotą znikomą. Czy zyskałby na życiu? tego nie wiadomo“, poucza Sofokles. — „Najlepiej dla człowieka nie rodzić się wcale, a lepiej być umarłym, niż żyć w wielkiej chwale“ — stwierdza z goryczą Arystoteles. — Oto rzeczywistość, oto bolesna prawda, oto przebudzenie się, śniącej o panowaniu nad światem, woli.

Wobec takiego stanu rzeczy, pozostają człowiekowi naiwnemu dwie drogi: albo cofnąć się i nie żyć wcale, albo iść dalej i zacząć w pocie czoła uprawiać twardy zagon chwasty i ciernie rodzącej empiryi. — Oczywiście na „cofanie się“, wobec faktu istnienia za późno a wobec braku doświadczenia za wcześnie. Nolens volens trzeba tedy reagować uczuciowo. Ale jak? — Oczywiście w sposób jak najmniej skomplikowany. Przedewszystkiem powstaje w człowieku naiwnym święte oburzenie. Skutkiem świętego oburzenia jest mierzenie własnych sił, skutkiem zaś mierzenia własnych sił jest podział zjawisk świata zewnętrznego na dwie kategorye, na dobro i na zło. Dobrem jest wszystko to, co daje się brać, ergo, co pożądaniu służy, złem jest wszystko to, co samo bierze, ergo, co pożądanie ogranicza. Do kategoryi rzeczy dobrych, czyli d a j ą c y c h s i ę b r a ć, odnosi się człowiek naiwny z sympatyą, do kategoryi rzeczy złych, czyli chcących brać, z antypatyą. To, co słabsze, uległe i pożądane, lubi. To, co silniejsze a mimo to uległe, ceni. Tem, co niepożądane, słabsze a nieuległe, gardzi. Tego, co pożądane, równie silne i nieuległe, nienawidzi. W chwili odczuwania sympatyi człowiek naiwny łagodnieje, staje się dobrowolnie ustępliwy, ściślej mówiąc: narzuca swoją ustępliwość i pozornie staje się skłonny do ofiar. Mówię „pozornie“, bo co do jego altruizmu, nie trzeba się łudzić. Jest altruistą tak długo, jak długo przedmiot umiłowania w niczem nie dotknie jego egoizmu. W umiłowanym przedmiocie kocha swoje pragnienie, k o c h a s i e b i e. Jeżeli przedmiot umiłowany n. p. karmi, to czyni to jedynie dlatego, ponieważ instynktownie chce spotęgować swoją przyjemność jedzenia, chce jednocześnie jeść dwoma ustami. Ale biada temu umiłowanemu przedmiotowi, jeżeli sięgnie po więcej, lub też po co innego, jak to, co mu zostało z góry przeznaczone! Odrazu wywiąże się walka. A wówczas: Jeżeli umiłowany przedmiot okaże się silniejszy a pomimo okazania swojej przewagi, dobrowolnie ustąpi, zasłuży sobie na wdzięczność. Jeżeli umiłowany przedmiot okaże

się słabszy i po okazaniu swojej słabości będzie musiał ustąpić pod presyą, zasłuży sobie na pogardę. Jeżeli umiłowany przedmiot okaże się w walce niezwyciężonym, ale i niezwyciężającym, zasłuży sobie na nienawiść.

Jak długo człowiek naiwny zderza się z obcą, a nieuzbrojoną w silniejszą pięść, wolą, tak długo czuje się panem stworzenia, tak długo wystarcza sam sobie. Atoli, skoro granice nienawiści, ergo granice sprzeczności interesów, sprzeczności połączonej z równorzędnością sił, przekroczy i skoro stanie na terenie pięści ubezwładniającej jego własną pięść, wówczas budzi się w człowieku naiwnym uczucie strachu, którego następstwem jest szukanie równie przerażonych sprzymierzeńców. Skoro ich znajdzie, zaczyna się z nimi liczyć, zaczyna im schlebiać, zaczyna się z nimi dzielić przyszłymi łupami, a jeśli pomimo to dojdzie do przekonania, iż pokonanym być musi, wówczas uderza w pokorę, pada przed przeciwnikiem na kolana i cześć mu boską oddaje.

Uczucie czci jest tedy praprawnukiem zwątpienia we własne siły, prawnukiem strachu, wnukiem pokory — a synem, z pokory poczętej nadziei, iż zwycięzca da się przebłagać i z kata zamienić w opiekuna. (C. d. n.)

O. WILDE. Przełożył St. Korczak.

AFORYZMY O SZTUCE.

Sztuka, gdy da wrażenie jedyne i niezrównane, przechodzi dalej. Życie zaś, zapominając, że naśladownictwo może być prostą obelgą, powtarza to wrażenie tak długo, aż nas wszystkich zanudzi.

Tak jak ci, którzy nie cenili Platona więcej od prawdy, nie mogli przestąpić progów akademii, tak ci, którzy nie ukochali piękna więcej od prawdy, nie poznają najtajniejszych głębi sztuki.

Niechęć XX-go wieku do realizmu jest wściekłością Kalibana, gdy w lustrze swoją twarz ujrzał.

Niechęć XX-go wieku do romantyzmu jest wściekłością Kalibana, gdy w lustrze swojej twarzy nie ujrzał.

Na współczesne obrazy patrzeć można z przyjemnością; na niektóre przynajmniej. Ale żyć z niemi nie można; na to są one zanadto mądre, zanadto bewzględne, zanadto intelektualne; ich treść jest zbyt oczywistą, ich technika za jasno określoną. To, co mają do powiedzenia, wyczerpuje się bardzo prędko, a wtedy stają się one nudne; zupełnie jak krewni.

Artysta niczego nie stara się dowieść; nawet rzeczy prawdziwe mogą być dowiedzione.

Mówi się niekiedy o tragedyi życia artysty, który nie może dosięgnąć swego ideału. Ale prawdziwą tragedyą, która idzie krok w krok za artystą, jest to, że on swój ideał urzeczywistnia zbyt dokładnie. Wtedy bowiem traci on cały urok i tajemniczość, a staje się poprostu punktem wyjścia do nowego, odmiennego ideału.

Wielki poeta, naprawdę wielki poeta, jest istotą bardzo niepoetyczną. Ale mierni poeci są wprost czarujący. Im gorsze ich wiersze, tem artystyczniejszy ich wygląd. Sam fakt wydania tomiku drugorzędnych sonetów, nadaje urok nieprzezwyciężony. Żyją oni tą poezyą, której nie mogą napisać. Inni piszą poezyę, której nie mają odwagi urzeczywistnić.

Możemy przebaczać robiącemu coś pożytecznego, póki on tego nie podziwia. Jedynym usprawiedliwieniem rzeczy bezużytecznej jest bezgraniczny podziw dla niej.

Sztuka jest całkiem bezużyteczna.

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY.

Z LITERATURY.

Powiedział kiedyś już Leopold Staff, że człowiek

„sam siebie ciągle jeno śni.
przeżywa swoją baśń o sobie".

Taką baśń o sobie dawał nam też zawsze. Dał i teraz. Baśnią o sobie są jego najnowsze liryki.

A więc „Sonata księżycowa" [1]). Serce, przepalone „ogniem i męką żywota", woła do nieb, by wejrzały na mękę ziemi:

Gdzie się nienawiść i zdrada rozrasta,
Na ciche sioła i na gwarne miasta.
Gdzie nędza, wyzysk, głód, wojna, choroba
W zniszczeniu sobie i zgładzie podoba,
Gdzie zbrodniarz szaty przywdziewa mocarza
A oszust słowy widza błogosławi
Tych, którym w piersi żelazny miecz wraża,

Udręczona dusza szuka dobroci i litości. I, zdaje jej się, znajduje ją w milczeniu nocy księżycowej, która najlepiej głąb istoty poety „niesytej niebios i wieczności" wyraża. Księżyc jest dla niej symbolem najwyższych snów ludzkości, uniesień wzwyż „na złotych cudów łów", wzdychań długich pokoleń

„co wzlatywały nad płazy i karły
Aby pomarły"...

Ta myśl — o śmierci i zagubie — od początku mąci spokój poety. Jasna noc, która przesłania swym blaskiem otchłań zła i krzywdy, jest dla niego kłamstwem. Jeszcze szuka nadziei w myśli, że moc księżyca, co morza porusza, wzruszy ich złych i podniesie ich „na wysokość człowieczego serca". Lecz widzi, że księżyc jest jeno upiorem i trupem zgasłej planety, a Bóg bezsilnem widmem, wysnutem „z ludzkiego serca kokonu", by zakryć widmo śmierci. I w swym śnie o miłości, wśród zła i występku „nie doczekawszy Jutrzenki pochodni" umiera poeta samotny.

---

[1]) Leopold Staff. Oczy otchłani. Warszawa 1919. Kraków, Towarzystwo wydawnicze w Warszawie, str. 57:

„Oczy otchłani“, to jakby dalszy ciąg tych rozważań poety. Zakończenie „sonaty“ jest szczytowym punktem jego wątpień, końcem szamotań się. „Oczy otchłani“, to powrót do wiary w miłość, w zmartwychwstanie nadziei. Zapada mrok i zbliża się godzina snu i ciemności, godzina żałoby i milczenia. Poeta sam czuwa i myśli. Ręce wyciąga z miłością ku braciom swym „spragnionym cudu a bez wiary“, oszukanym, zdradzonym i opadłym, nieszęśliwym z winą i bez winy“. Jedyną chwilą szczęścia dla nich jest chwila zapomnienia a więc snu. Poeta zabiera głos za nich, niemych poetów — bez daru śpiewu i łaski skargi. W głuszy pracuje jego serce, które świat niedoli chce przekuć na świat miłości. Mimo wątpień, mimo „marszu beznadziei“, jaki mu lęk wygrywa, wiary swej w miłość się nie zapiera. Lęku nie czuje, bo jak ma bać się nocy, którą czci, w której uwielbia jej „wieczność najstarszą“. Tęsknotą swej duszy chłonie nocy bezmiar, a z nim głąb katuszy ludzkiej. Chciałby dziwną swej boleści miłością rozpłonąć. I jest ta noc dla poety „Wielką Nocą — w której się widzi Zmartwychwstanie Słońca, nieznana, z twarzą zakrytą Nadzieja“. Daje mu spokój i odpoczynek i każe trwać wolą życia, którego pragnienie w niej drzemie. Sławi ją tedy poeta pieśnią miłości. Kocha za boleść ekstazy miłosnej, która mu daje odczuć rozkosz istnienia. W sercu chowa wiarę w dzień przebudzeń, wiarę „wszechmocną, w Miłość i w Człowieka“. Noc jest dla niego głęboką modlitwą o miłość. Dzień będzie bitwą o serce.

I oto upoiło poetę wino miłości [1]) i daje nam dwa radości pełne utwory. Daje pieśń na cześć wiosny (Pean wiosenny), na cześć zbudzonego świata, co odradza kwiecie i duszę poety. Stara tęsknota go porusza i drogiem mu się staje to, co zginie — dlatego, że zginie. Wielkie tajnie, co poza światem i życiem leżą, nużą go. Wie, że istnieją sprawy wieczne, i że przystoi myśleć o śmierci. Długo czynił „dzieło pająka“

Co mądrość z siebie snuje długą przędzą
Własnych wnętrzności, by niemi owinąć
Wystygłe serce świata.

Lecz serce chce radości życia. Chce wiosny. Czy jednak nie zapóźno? Życie poeta spędził na kochaniu tego, co dalekie, na gonitwie za tem, co niemożliwe. Lecz nie stracił wszystkiego w tej gonitwie, bo ma tęsknotę, co chce kochać. Chce się pogodzić z całym światem. Wierzy, że

„po to serce jest, aby pieśniami
łkać i wylewać się boskiemi łzami“.

Drugim takim radosnym utworem jest „Wino miłości“. Skąd tytuł? Oto serce poety wzruszone jest

„jakby potężnem upojone winem
Lanem, gdy zwykłych win w dzbanach nie stanie,
W puchar weselny w Galilejskiej Kanie“.

To wino miłości. Na duszę poety zeszła „Miłowania łaska, co rozjaśniła długiej nocy ciemnie“. Rozum jego „ta biedna oślica“ co majaki „wydętej wiedzy“ nosiła, gdzieś stoi sama i opuszczona a on — pijany szczęściem Z poza szczęścia łez świata nie widzi. Zniknęło wszelkie zło. Nie wie poeta nic, lecz czuje jedno: że miłujący idzie. Dzień jego u kresu już i idzie sam, bo wszystko na ziemi go odeszło. Idzie samotny i swobodny, a bóstwo miłości wiedzie go „w śmierć, w tę samotność i wolność ostatnią“. zrównanego ze wszystkiem, „co skromne, biedne i głupie, śmieszne i bezdomne“. I dlatego tak mu w duszy wesoło. Nie pamięta nic, jedynie czuje i nic nie rozumie, jeno kocha. Myśli i słowa poety mętne i zawiłe, ale jasna miłość jego duszy. Nie wie, czy godnie Chrystusa czci, nie obchodzi go, czem Chrystus jest. Wie tylko, że skonał za niego. On więc za Chrystusa skonać gotów; lecz że dziś głowy za wiarę pod miecz nie da, pragnie miłować. Nie pytać, czy wiara jego prawowierna, lecz miłować.

[1]) Leopold Staff. Wino miłości. Warszawa 1919. Kraków, Towarzystwo wydawnicze w Krakowie, str. 59.

Taką jest filozofia życiowa, którą głosi Staff w swych utworach. Tą samą filozofią przepojone są i dalsze utwory [1]). Czy to będzie pieśń o skowronku „bożym parobku pól“ westchnieniem poety zakończone, by stworzył pieśń kiedyś jak jego najszczerszą

I nią zarobił też tą ludzką miłość.

Czy też świetne porównanie losu człowieka do strzechy chaty chłopskiej („O strzesze naszej“), czy oryginalnie pojęta i zrozumiana „Muzyka żab wieczornych“. Głębokie odczucie, ukochanie natury, widoczne też w opisie wiosny w „Peanie wiosennym“, pozwala poecie apelować takie utwory jak: „Szumy leśne“, „Skarga wiatru jesiennego“, „Babie lato“ czy „Dymy“ lub „Złota elegia“, przepojone własnymi uczuciami, niepokojem i tęsknotą, z radością zmieszaną.

Do szczytu dochodzi poeta w malowniczych opisach „Sadów“, lub w „Pasiece“. Umiłowanie malowniczości prowadzi go przez „kościółek wiejski“ aż do świetnego „Hymnu do barw“, z drugiej strony zbliżonego ideowo do „Oczu otchłani“. Odczuciem honoru ludu i poetyzowaniem go odznaczają się „Wieczornica“, „Cepy“, „Drwal“ i „Pogrzeb“. *K. Grzybowski.*

PRZEKŁADY.

Trylogia składająca się z „Dwóch poetów“, „Straconych złudzeń“ i „Cierpień wynalazcy“, to gdyby oś „Komedyi ludzkiej“; niedawno zaś wydani „Dwaj poeci“ [2]) to pierwsze ogniwo tej trylogii.

Tłem powieści — warsztat myśli ludzkiej, możliwie szeroko ujęty — czy nim będzie prowincyonalna drukarenka, której właściciel waży w myśli wynalazki, czy izdebka paryskiego poddasza gdzie myśliciel wielkie dzieła poczyna.

W samym utworze odzwierciedlają się przejścia i wrażenia młodości autora, który obu bohaterów powieści obdzielił cząstkami swej przebogatej indywidualności. Jeden z nich, Lucyan Chardon młody i ambitny poeta — marzyciel, przypomina nam żywo młodego Balzaka, trawionego gorączką sławy. Drugi zaś, Dawid Séchard, borykający się z przeciwnościami, jako kierownik drukarni, sprzedanej mu oszukańczo przez ojca, to obraz tegoż Balzaka, gdy z poety przedzierzga się na kilka lat w drukarza i wydawcę.

Mimo nikłości akcyi, mimo nużącej miejscami iście Balzakowskiej, drobiazgowości, z powodu mistrzowskiego przedstawienia życia prowincyi, małomiasteczkowych przesądów i zwyczajów, powieść zaciekawia tak, że z niecierpliwością oczekuje się na drugą część cyklu, która opisuje dalsze losy Lucyana w Paryżu.

Prowincya (ulubiony temat Balzaka, w szeregu powieści, w tak różnorakich nuançach przedstawiana) i kontrasty, powstające przy zestawieniu życia Paryża, pełnego talentów, fantazyi i jakby nadczłowieczeństwa z wyjałowionem i monotonnem życiem prowincyi tworzą tło „Muzy z zaścianka“[3]). Muzą tą, jest Dina Piédefer, w siedemnastym roku zaślubiona niepozornemu winiarzowi de la Baudraye, człowiekowi żądnemu zaszczytów i tytułów, chciwcowi ogarniętemu „namiętnością“ ziemi. W pierwszej epoce swego małżeństwa, Dina, stara się tchnąć ożywczy prąd w życie prowincyi, z czasem ulega jednak małomiasteczkowym wpływom i staje się „kobietą z prowincyi“. By zrozumieć znaczenie tego określenia posłuchajmy co mówi o „kobiecie z prowincyi“ sam autor: „Choćby młoda dziewczyna, urodzona w jakimkolwiek departamencie, była nie wiem jak wielka, piękna, silna, jeżeli, jak Dina Piédefer, wyjdzie za mąż na prowincyi stanie się niebawem kobietą z prowincyi. Mimo najświętszych postanowień, komunały, mierność pojęć, zaniedbanie stroju, cieplarnia pospolitości, zaleją wzniosłą istotę, kryjącą się w tej świeżej duszy i już po wszystkiem, piękna roślina usycha“. Wtedy to zawiedziona w swej dumie, zawiedziona w miłości, poczyna za poradą X. Duret przeobrażać swe myśli w poezyę, pisze poemat „Pakita z Sewilli“ pod pseudonimem Jana Diaz,

---

[1]) Leopold Staff. Pieśń o skowronku. Warszawa 1919. Kraków, Towarzystwo wydawnicze w Krakowie str. 72. — Leopold Staff. Sady. Warszawa 1919. Kraków, Towarzystwo wydawinicze w Warszawie str. 79.

[2]) Balzac: „Dwaj poeci“. Przełożył Boy. Bibl. Boy'a t. 48. Kraków, 1919. str. VIII. 191.

[3]) Balzac „Muza z zaścianka“, przełożył Boy. Bibl. Boy'a t. 52. Kraków 1919. str. XI. 271.

który zyskuje jej miano kobiety niepospolitej. W tym czasie nawiązuje się jej romans z Stefanem Lousteau, dziennikarzem, jednym z tych, o których się mówi, że „żyją z pióra“. Dla niego opuszcza męża i udaje się do Paryża, gdzie przez dłuższy czas z nim przebywa pomagając mu w pracy literackiej. Przez ten czas mąż jej, dzięki sprzyjającemu losowi, a co więcej dzięki nadzwyczajnemu sprytowi, zostaje parem Francyi, hrabią i komandorem Legii honorowej i „miał tę próżność aby zapragnąć reprezentacyi“ w żonie i domu, prowadzonym na wielką stopę. Ponieważ stosunki jej z Stefanem Lousteau ochłódły, pani de la Baudraye, zgadza się na propozycyę męża i wraca na łono rodziny.

Jedną z najlepszych scen powieści — stanowiącej przyczynek do obrazu świata literackiego, przedstawionego w „Straconych złudzeniach“ — to scena czytania romansu „Olimpia albo tajemnice Rzymu“, w który była zawinięta korekta przysłana dziennikarzowi Lousteau. W epoce, w której Balzac tworzył swoje arcydzieła, publiczność z zajęciem chłonęła powieści w typie „Tajemnic Paryża“ Sue'go lub „Montechrista“ Dumasa-ojca. Widocznie Balzac zniecierpliwiony tem koleżeństwem poczytności, pragnął, zaznaczyć jak łatwo mógłby napisać, tak od niechcenia, takie „zajmujące“ romanse i wykazać różnice między powieścią a — powieścią. *S. O. B.*

Do wydanych poprzednio monografii powstań: listopadowego i kościuszkowskiego, dodał obecnie Artur Sliwiński trzecią: powstania styczniowego[1]). Autor rozpoczyna rzecz swoją od upadku rewolucyi listopadowej i w szeregu świetnie nakreślonych rozdziałów prowadzi nas przez kilkadziesiąt lat dziejów. Dzieło odznacza się silną, czasami może za silną (n. p. charakterystyka Wielopolskiego), ale po większej części znakomitą charakterystyką, tak epoki, jak i osób działających. Duża wiedza historyczna, połączona z gorącym duchem patryotycznym, nigdy w szowinizm nie przechodzącym, piękny język, jasny i przystępny sposób wykładu zapewniają najnowszej pracy Sliwińskiego popularność i uznanie. Zapełnia ono poważną lukę w naszej historyografii, która (oprócz pracy Augusta Sokołowskiego) żadnej naukowej monografii powstania styczniowego nie posiadała. Tym zarysem, znakomicie nakreślonym doskonale uzupełnił autor dwa poprzednie tomy historyi powstań.

Najnowsza książka Szymona Askenazego „Gdańsk a Polska“ [2]), to znacznie rozszerzone i dopełnione „Sprawy gdańskie“ („Wczasy historyczne II“) tegoż autora. Najwybitniej to rozszerzenie widać w dziejach zaboru pruskiego i wolnego miasta. W tej części mamy do czynienia z zupełnie nowym dziełem. W „Wczasach historycznych“ brak było zupełnie rozdziału o Gdańsku, wieku prusko-niemieckiem. Autor przedstawia nam w swej książce dzieje Gdańska na tle stosunku tego miasta do Polski, wykazuje jego po dziś dzień sympatyę do tej Polski, i wiekową, teraz osłabioną już, nienawiść ku Prusakom. Jest to jedyna polska monografia obejmująca całokształt dziejów Gdańska. Zadanie swe --- uświadomienie rzeczowych i historycznych tytułów Polski do Gdańska --- spełnia doskonale. Uczy nas przyjaźni i miłości tego miasta; każe poszanować prawa obopólne. Wielką usługę by nam mógł oddać przekład dzieła na obce języki. *Konstanty Grzybowski.*

Z TEATRU.

„Romantyczni“ E. Rostand'a, „Zacisze domowe“ J. Courtelin'a, „Nieboska komedya“ Z. Krasińskiego.

Przed kilku miesiącami umarł Rostand. Cała Francya czci w nim autora Cyrano de Bergerac, żyjącego ideałami tej rasy i tego światopoglądu, których zwycięstwo dzisiaj podziwiamy. Wznawianie jego utworów jest więc nietylko uczczeniem pamięci zgasłego literata, ale i świadectwem naszej kulturalnej łączności z Zachodem.

[1]) Artur Śliwiński. Powstanie styczniowe. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie str. 245.
[2]) Szymon Askenazy. Gdańsk a Polska. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. G. Gebethner i S-ka. Kraków 1919 str. 214. (50 wypisów).

„Romantyczni“ nie są jego arcydziełem; są w nich niezręczności i błędy, których unikają nawet znacznie mniejsze talenta, ale mają jedną zaletę, która im może zapewnić długie powodzenie; umiał mianowicie Rostand publiczność oczarować i wmówić jej, że jego poetycka frazeologia jest prawdziwą, porywającą poezyą.

P. Zielińska piękną deklamacyą i wrodzonym wdziękiem ożywiała bladą postać Sylwii.

Rola Percineta daje szerokie pole do popisu p. Białkowskiemu, zwłaszcza że tak doskonale odpowiada jego warunkom.

Pp. Orwid i Noskowski dali doskonałą parę staruszków, bardzo dyskretnie zaznaczając ich karykaturalność.

Rolę Straforela dublują pp. Zarski i Nowakowski.

Rozpoczęto wieczór, zwyczajem importowanym z Paryża, krótką „levée de rideau“. Wybrano na to „Zacisze domowe“ Courteline'a, małe arcydzieło ukrycia głęboko satyrycznej uwagi o życiu i ludziach w zwięzłej i niepozornej komedyjce.

* * *

„Nieboska komedya“ bywa graną bardzo rzadko; jest to prawie, że ostatni dramat romantyczny wprowadzony na scenę.

Pierwszą inscenizacyę dał w r. 1902 Kotarbiński w Krakowie, pod jej wpływem wystawił „Nieboską“ Zelwerowicz w Warszawie, ostatnio wreszcie grano ją w „Narodnim Divadle“ w tłómaczeniu Fr. Kvapila.

Tym razem podjął się opracowania tekstu już nie aktor, ale tak wybitny znawca literatury, jakim jest prof. Sinko.

Dyskusya, czy przy skracaniu tekstu należy dać przewagę dramatowi osobistemu czy społecznemu pozostanie jałowym sporem literackim. Z teatralnego punktu widzenia wystarczy, jeżeli we wrażeniu widza nie pozostaną luki i niejasności, któreby dopiero poznanie oryginalnego tekstu musiało usuwać.

Prof. Sinko kładzie cały nacisk na obrazie walki społecznej, a uzupełnia ją charakterystyką hr. Henryka i jego poetyczności, zawartą w krótkiej scenie „Nad grobem żony“.

Te kilka słów, w których jest streszczona tragedya rodzinna męża i w których on określa swój stan wewnętrzny w chwili podjęcia walki, wystarczyłyby przy czytaniu tej przeróbki. Ale ich wykonanie sceniczne, z konieczności szybkie, nie pozwala słuchaczowi na rozwinięcie skrotu myślowego w nich zawartego. Postać Orcia wydaje się mało uzasadnioną i słabo związaną z dalszą akcyą, a chociaż widz jego ślepotą nie jest zaskoczony (jak słusznie przewiduje prof. Sinko w artykule o inscenizacyi "Nieboskiej“) to jednak nic mu nie wskazuje na jej symboliczne znaczenie w dramacie.

Prof. Sinko opuszcza scenę przechrztów, nie chcąc kontrastu dwóch partyi walczących zaciemniać przez wprowadzenie czynnika obydwum obcego, a w rozwoju akcyi nie biorącego udziału; przez to jednak staje się zupełnie niezrozumiałą, a nawet rażącą, postać przechrzty, oprowadzającego hr. Henryka po piekle rewolucyi. Ułożenie dalszych scen takie, aby nic nie tracąc z tekstu, rozłożyć go na jaknajmniejszą ilość odsłon, nie przedstawiało żadnych trudności i było bez zarzutu.

Dekoracye projektował p. Frycz; z inscenizacyą poematów Krasińskiego zaznajomił się przy wystawianiu „Irydiona“ na słynnej scenie obrotowej Teatru Polskiego w Warszawie. Dekoracye jego są utrzymane w stylu „stylizowanym“ (dotychczas brakuje lepszego określenia). Twórca tego kierunku, Gordon Craig, chcąc widzowi ułatwić skupienie uwagi na samej sztuce, dekoracye upraszczał, podkreślając niemi jednocześnie naczelny nastrój każdej sceny. Posługując się w tym celu głównie szerokiemi efektami kolorystycznemi i umiejętnym rozkładem oświetlenia, doszedł do takiej prostoty środków, że do zbudowania dekoracyi do Hamleta wystarczyły mu proste płócienne ekrany. Pod jego wpływem pozostają reżyserowie niemieccy; ci, mniej od niego radykalni w burzeniu dawnych środków ekspresyi, stworzyli schemat ujmowania sceny po bokach slupami czy wieżami, stałemi w obrębie każdej sztuki, a zmieniania tylko tła i akcesoryów.

Tego sposobu użył p. Frycz. Ocena jego talentu na podstawie tej inscenizacyi jest prawie, że niemożliwa. Drożyzna materyałów nie pozwala na dokładne oddanie projektu artysty, a fatalne urządzenia techniczne naszej sceny i nieumiejętne stosowanie efektów świetlnych nieraz zupełnie spaczają jego intencye. Zdaje się jednak, że zdolności p. Frycza idą więcej w kierunku zdobniczo-malarskim aniżeli nastrojowo-dramatycznym. Najsilniejsze bowiem wrażenie wywołuje, gdy dekoracya jest mało zależną od tekstu. Tak więc katedra św. Trójcy, sala w pałacu hr. Henryka, wizya w podziemiu były świetnemi kolorystycznie obrazami, z wybitnym, po malarsku wyrażonym nastrojem. Gdzie natomiast dekoracya ma służyć za podłoże dla akcyi, zadawala się p. Frycz realistycznemi akcesoryami w otoczeniu dekoracyi stylizowanych, co wytwarza mieszaninę, która nie daje ani realistycznego złudzenia ani stylizowanej jedności wrażenia.

P. Sosnowski wyreżyserował sztukę starannie. Jego interpretacyę scen „Nad grobem żony", „U wodza rewolucyi", „Przedstawiciele dwóch światów", „Obrońcy starego porządku", „Sąd przeszłości" i „Bunt w twierdzy" możemy uznać za rozwiązanie problemu inscenizacyi tych scen. Zasadnicze nieporozumienie zaszło jednak w scenach z piekła rewolucyi i w scenach śmierci hr. Henryka i Pankracego. One to stanowią główną trudność w wystawieniu „Nieboskiej Komedyi". Tekst musi być opartym o ruchy tłumów i o deklamacye chóralne, czyli o momenty widowiskowe, silnie narzucające się widzowi: ten jednak musi zwrócić całą swoją uwagę na słowa hr. Henryka i jego stosunek do otoczenia. Reżyser, chcąc mu to ułatwić, nie może zapominać, że sceniczność „Nieboskiej komedyi" nie polega na podawaniu widzowi wrażeń wzrokowych na równi ze słuchowemi, lecz przeciwnie, na całkowitem pochłonięciu jego uwagi przez żywe słowo. Jedyną drogą do tego jest wystylizowanie gry tłumu takie, aby widz nie miał przed sobą imitacyi rzeczywistości, ale jej symbol.

Pan Sosnowski uległ jednak pokusie zrobienia z „Piekła rewolucyi" i „Obrzędów nowej miary" realistycznego widowiska. Zatracił przez to całą potęgę i grozę wizyi, a sztuczki, których używał wywoływały wrażenie aż humorystyczne.

P. Nowakowski powtórzył w roli hr. Henryka swoją świetną kreacyę z „Wyzwolenia", ale już bez tej przekonywującej siły wyrazu.

„Nieboska komedya" zawiera tak mało wskazówek do charakterystyki Pankracego, że trudno nie zgodzić się na pojęcie go przez p. Sosnowskiego, jako flegmatycznego starca.

Bardzo wybitne postacie stworzyli p. Kamińska jako Orcio i p. Bończa jako przechrzta.

J. Kostanecki.



TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO: